

Kamila Modrzyńska*
Ostatnia noc Lipin

Spotkaliśmy się koło dziewiątej, ale dobrze nam się rozmawiało i kiedy wybiła pierwsza w nocy, a kelnerka zaczęła sprzątać, żadne z nas nie miało ochoty iść do domu.

— Chodźmy na stację — zaproponował Wojtek. — Kupmy jeszcze po piwie w monopolowym i tam wypijemy.

Wahałam się.

— No weź — dodał Wojtek ze szczerym oburzeniem. — Chyba nie masz mnie już dość? *Come on!*

— Mów do mnie po polsku — skarciłam go. — Wiem dobrze, co studiujesz, nie musisz się chwalić.

— Nie chwałę się! — Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. — Ale no posłuchaj, mamy wakacje, widzimy się pierwszy raz od pół roku. Mamy co nadrabiać, nie?

Zgodziłam się z tym.

— To co?

— Niech ci będzie — zgodziłam się. — Chodźmy na stację.

Szliśmy może kwadrans, zanim zostawiliśmy Lipiny za naszymi plecami. Obejrzałam się na nie jeszcze raz czy dwa, kiedy Wojtek nawijał z entuzjazmem o jakiejś postaci z filmów o superbohaterach, ale niezbyt mnie to obchodziło i wcale go nie słuchałam. Miało spać głęboko, pogrążone w czarno-szarym półmroku. Uliczne lampy były już od dawna wyłączone. Domy nagle stały się obce, ich kontury były wrogie, schowane częściowo za drzewami. Księżyc stał wysoko, a gwiazdy gęsto go otaczały, widoczne jak rzadko kiedy. Piękna to była noc, ostatnia noc Lipin.

*Kamila Modrzyńska — urodzona 15 września 1994 w Działdowie na Mazurach; studentka lingwistyki stosowanej; debiutowała w antologii *Fantazje Zielonogórskie IV*.

— Naprawdę powinniśmy obejrzyć ten film — ciągnął Wojtek.

Przytaknęłam.

Stacja była oddalona od Lipin. Szło się na nią prosto, równoległe do wsi, wzdłuż szerokiego pasa zboża. Wiatr przeczesywał je palcami i nawet w mroku widziałam, jak kłosa falują to z jednej, to z drugiej strony. Po obu stronach drogi, którą szliśmy, rosły krzewy, ale poza tym otaczała nas pusta, otwarta przestrzeń. Dopiero bliżej stacji postawiono jeszcze kilka domków, a w żadnym z nich nie paliło się światło.

— I *Wonder Woman* powinna ci się spodobać — dodał. — Trochę mi ją przypominasz z wyglądu.

Jedynym źródłem światła była latarka w telefonie Wojtka, która kołysała się przy każdym ruchu. Góra — dół — góra — dół — góra — dół, tak jak jego ramię.

— Nie wiem, kim jest *Wonder Woman* i nie mam pojęcia, jak ona wygląda — stwierdziłam z niesmakiem. — Nie sądzisz, że strasznie tu pusto?

Wzięłam go pod ramię, tak na wszelki wypadek.

— No, i już po północy — dodał Wojtek konspiracyjnym głosem. — Wszystkie duchy już się obudziły i grasują teraz wokół nas.

— Nie żartuj sobie ze mnie!

— Wyobraź sobie, ktoś mógłby iść kilka kroków za nami i nawet byśmy nie wiedzieli.

Obejrzałam się za siebie. Pusto. Chyba.

— Nie mów takich rzeczy! — Uszczypnęłam go w ramię.

Wojtek roześmiał się, ale chwilę później usłyszeliśmy wyraźnie, jak coś przebiegło obok nas, szeleszcząc w krzakach. W milczeniu poświecił komórką w stronę pobocza.

— Usłyszał nas — powiedział z markotną miną. — Usłyszał i skoczył w krzaki, żebyśmy go nie zobaczyli.

— Tak, w te pokrzywy — dodałam z przekonaniem. — Biedny upiór.

Minęliśmy kilka ostatnich domów, które oddzielały nas od stacji. Panowała cisza. Weszliśmy na pierwszy peron i zeskoczyliśmy z niego wprost na tory, w kolejny, głębszy odcień czerni.

— Idealne miejsce na piknik — powiedziałam, stając na jednej z szyn, wyślizganej i srebrnej z wierzchu. Natychmiast straciłam równowagę i zleciałam na kamienny podkład.

Wojtek wyminął mnie i jako pierwszy wspiął się na kolejny peron. Podeszłam do niego, a wtedy wyciągnął rękę i pomógł mi się wspiąć. Wreszcie usiedliśmy razem na szarym peronie, który nadal był nagrzany od słońca.

— Jak przyjemnie — powiedziałam, przyciskając dłonie do chropowatej powierzchni.

Wojtek wyciągnął dwie butelki piwa.

W jednym z domów za stacją zapaliło się światło, jedyny jasny punkt, jaki był widoczny z naszego miejsca. Podmuch wiatru przyniósł zapach sosen. Za stacją rozciągał się las, który zlewał się nam teraz w jedno. Wzrok nas zawodził, ale pozostałe zmysły nadrabiały braki. Słyszeliśmy wyraźnie, jak las szumiał przy najmniejszym porywie wiatru. Od czasu do czasu docierało do nas pohukiwanie sowy. I było jeszcze coś... coś w powietrzu. Nawet teraz, o pierwszej w nocy, czuło się energię, jaka zbierała się w ciągu dnia.

— Dobra, toast — powiedział Wojtek, podając mi otwartą butelkę piwa.

— Za przyszły rok! — rzuciłam bez namysłu.

— Za przyszły rok — zgodził się. I jak przystało na przyszłego anglistę, dodał: — *Cheers!*

Stuknęliśmy się i upiliśmy trochę.

— Jak książka twojego taty? — przypomniało mi się.

— Rośnie z dnia na dzień — roześmiał się. — Już teraz dochodzi do pięciuset stron, a mówi, że to dopiero początek. I że jakby miał porządnie opisać historię Lipin, to musiałby napisać trzy razy tyle. W kółko odkrywa coś nowego i potem przez tydzień chodzi i o tym nawija.

— Fajnie!

— Daj spokój. Jak się za mocno rozkręca, to idę do swojego pokoju. Zwykle nie uważa.

Roześmiałam się.

— Ale mama to już wariuje od słuchania o jednym i tym samym. Słuchaj, parę dni temu odkrył, gdzie w Lipinach był jakiś bardzo stary cmentarz. O rany, buzia mu się nie zamykała.

— Gdzie był? — spytałam z żywym zainteresowaniem.

— Gdzieś naprzeciw remizy strażackiej. Nie wiem. Co za różnica, i tak od dawna nie ma po tym śladu.

Zamieniliśmy jeszcze kilka leniwych zdań, rozkoszując się atmosferą. To było nie-samowite uczucie, siedzieć tutaj, w ciepłe i w ciemności, i być otoczonym ze wszystkich stron żywymi istotami, których nie było widać.

Skończył opowiadać o jakimś wykładowcy i na chwilę zapadła między nami cisza, kiedy zajął się opróżnianiem butelki.

— Las jest coraz głośniejszy — powiedziałam. — Słyszysz?

Wojtek milczał. Przez chwilę oboje się wsłuchiwalismy.

— Szumi — powiedziałam znacząco.

— Jest lato — wzruszył ramionami. — Normalne, że las szumi. Pewnie produkuje małe zajaczki.

Zachichotałam. Położyłam się na peronie i Wojtek bez zastanowienia zrobił to samo. Przez chwilę w milczeniu patrzyliśmy w niebo.

— Brakuje mi gwiazd w mieście — powiedziałam. — Tam ich nigdy nie widać.

— I niebo jest różowe — dodał. — Wiem. Jest inaczej.

Minęło kilka kolejnych, spokojnych minut, zanim Wojtek zagadnął:

— Słyszysz? Las cichnie.

Milczałam. Przekręciłam głowę tak, żeby widzieć dworcowy zegar. Wybiła trzecia. Usiadłam i przeciągnęłam się.

— Ale zleciało.

— Mówiłem, że będzie fajnie.

Może nie było to zbyt istotne, co robiliśmy, ale to były ostatnie, sielankowe minuty, kiedy jeszcze mogliśmy docenić szumiący las czy peron nagrany słońcem.

Bo właśnie wtedy od strony Lipin rozległ się wysoki, zawodzący dźwięk, czy może raczej buczenie, które zaczęło przybierać na sile. Słyszeliśmy, jak melodia wchodzi na coraz wyższe tony i dzięki temu zatacza coraz szersze kręgi, obejmując swoim zasięgiem już nie tylko same Lipiny ale i całą okolicę.

— Syrena alarmowa? — spytałam.

Wojtek przytaknął. Jej brzmienie, mimo odległości, świdrowało nasze uszy.

— Nigdy nie lubiłam tego dźwięku — powiedziałam, obejmując kolana dłońmi. — Miałam wrażenie, że zwiastuje coś złego.

— Raczej przynosi pomoc — powiedział pocieszająco Wojtek. — Zobaczmy, ile czasu zajmie, zanim usłyszymy wóz strażacki. Jest trzecia dziesięć. Ile im dajesz?

— Pięć minut?

— Daj im wstać i dojechać. Dziesięć.

— Okej, zobaczymy — przyjął zakład.

Nadal trzymałam w ręku butelkę z końcówką piwa. Syrena nadal nie przestawała wyć, rezonując echem, które dochodziło do najdalszych miejsc. Pomoc, pomyślałam stanowczo. Pożar? Chyba tak, cóż by innego?

Dziwnie się siedziało na dworcu, wyobrażając sobie poruszenie, jakie musiało panować w jednostce strażackiej.

— Ale muszą się uwijać — mruknęłam. — Biedni, tak się budzić w środku nocy.

Dopiłam resztę piwa, które smakowało okropnie. Spod domu Witkowskich z piskiem opon ruszył samochód.

— O, to pewnie Kacper — stwierdził.

Zerknęłam na dworcowy zegar i widziałam, że wzrok Wojtka podążył za moim. Wskazówki przesuwają się zdecydowanie zbyt wolno. Minuta, dwie, trzy... Syrena nie chła.

— Wydawało mi się, że to tylko chwilę trwa? — spytałam. — Tak wiesz, żeby wszyscy usłyszeli?

Wojtek wzruszył ramionami.

— To chyba coś znaczy, jeśli alarm trwa dłużej — mruknął z zamyśleniem Wojtek. — Kiedyś w liceum czytałem... trzy minuty to chyba zagrożenie atomowe?

Zrobiłam wielkie oczy, ale się nie odezwałam. Minęło kilka kolejnych minut.

— Um, Wojtek? — Przerwałam ciszę. Chłopak oderwał wzrok od zegara i spojrzał na mnie. — Co jest gorsze od ataku atomowego?

Namyślił się.

— Może coś im się zacięło.

Kiedy odliczyliśmy pełen kwadrans, a dźwięk syreny nadal rozchodził się po okolicy, widziałam już, że coś było nie w porządku i nie była to kwestia czegoś tak prozaicznego jak pożar.

— Dziwne, że któryś z sąsiadów nie poszedł ich opieprzyć — stwierdził Wojtek. — Przecież naprzeciwko straży pożarnej mieszka Michalski. No kto jak kto, ale on zawsze jest pierwszy, żeby urządzić awanturę.

— Chodźmy do domu — powiedziałam po chwili milczenia.

— Zostało nam pół godziny do wschodu słońca!

— Zobaczymy go po drodze. Chodź, ja się boję.

Wyrzuciłam puste butelki do kosza i razem zesliśmy z peronu. Wojtek przekonywał mnie, że totalnie nie ma się czego bać, że to tylko awaria systemu albo jakaś inna głupota.

— Tak czy inaczej pewnie już pół Lipin jest na nogach — stwierdziłam. — Ta syrena mogłaby obudzić nawet zmarłego.

Wojtek zachichotał, ale skarciłam go spojrzeniem.

— Moi rodzice nie będą zachwyceni, kiedy zobaczą, że jeszcze nie wróciłam do domu.

Z każdym kolejnym krokiem było coraz jaśniej, a wycie syreny stawało się coraz wyraźniejsze.

Wciąż jeszcze dużo czasu pozostawało do wschodu słońca, ale pojawiały się już jego pierwsze oznaki. Noc ustępowała miejsca płaskiej szarości, która dopiero miała nabrać głębi. Nad polami wkrótce zacznie się unosić mgła. Zostawiliśmy las za plecami, ale mimo to słyszałam, jak pierwsze ptaki wznosiły trel. Ziewnęłam. To byłby idealny poranek... A niekończące się brzmienie syreny stanowiło upiorny kontrast. Nie dajcie się zwieść, ostrzegęła. Tu nie jest bezpiecznie.

Wyszliśmy na główną drogę prowadzącą do Lipin i poczułam się trochę pewniej. Byliśmy teraz bliżej ludzi. Z pewnością nie mogło nam się stać nic złego, prawda? Mimo wolnie zwolniliśmy, widząc jakąś kobietę idącą z naprzeciwka.

— O, widzisz — mruknął Wojtek. — I tyle, jeśli chodzi o spokój. Zawsze można liczyć na starsze panie chodzące do kościoła.

— Kościół jest w drugą stronę.

— Wracające.

Przyglądałam się jej uważnie, z każdą chwilą dostrzegając coraz więcej szczegółów. Musiała mieć koło sześćdziesiątki. Była ubrana od góry do dołu na czarno, a wokół nadgarstka miała opleciony różaniec, który zwisał swobodnie. Szła powoli, wręcz człapiąc, a jej czarne pantofle postukiwały przy każdym kroku. Wyglądała znajomo, ale nie potrafiłam powiedzieć skąd. Kiedy się zbliżyliśmy, mogłam wreszcie przyjrzeć się jej twarzy. Miała błękitne, nieprzytomne oczy. Nie widziała ani nas, ani drogi przed sobą.

— Dzień dobry. — Skłoniliśmy się z Wojtkiem niemal jednocześnie, ale nie zareagowała.

Minęła nas, a wtedy poczuliśmy wyraźnie ciągnący się za nią smród zgnilizny.

— Ci starzy ludzie zawsze dziwnie pachną, nie? — stwierdził Wojtek.

Obejrzałam się za kobietą.

— Wyglądała znajomo — powiedziałam niepewnie. I wtedy to do mnie dotarło. — Wiem! Wygląda jak koleżanka mojej mamy, pani Majchrzak. Wygląda, ale... No, w zeszłą środę był jej pogrzeb. Jest martwa.

— Więc to nie ona.

Zmarszczyłam brwi z powątpiewaniem.

— Ech, pewnie ma jakąś siostrę czy coś. — Wzruszyłam ramionami. Koleżanki mojej mamy nigdy zbyt nie interesowały.

Wojtek obejrzał na nią i znów spojrzął na mnie.

— Ale to by miało sens — dodałam mimowolnie. — Spójrz tylko na nią. Czarna suknia. Różaniec. Ona wygląda, jakby wyszła prosto z trumny.

— Wygląda całkiem czysto jak na kogoś, kto właśnie przedarł się przez dwa metry ziemi — skomentował Wojtek. — Daj spokój. Te wszystkie baby zawsze się tak stroją.

— Spytam mamy po powrocie — powiedziałam bez przekonania.

Spojrzeliliśmy oboje w stronę Lipin. Niemal w każdym domu paliło się już światło, ludzie byli ciekawi, co się stało. Wieś nadal pogrążona była w szarości, ale nad główną ulicą unosiła się złota luna, jakby od pożaru. Wtedy jeszcze miałam nadzieję, że to zwykły ogień. No bo co innego — w naszych nudnych Lipinach?

— Ciekaw jestem, kto za to odpowiada — mówił tymczasem Wojtek. — Straż? Ktoś tam zasnął? Ta syrena powinna już dawno się urwać. Mam wrażenie, że komuś się nieźle oberwie za wyrywanie ludzi ze snu o tej porze.

— Może to błaganie o pomoc — zasugerowałam i oboje poczuliśmy, jak atmosfera oklapła.

— Jesteś największą optymistką Lipin, wiesz o tym? — skwitował to Wojtek.

Tymczasem na horyzoncie pojawiła się kolejna sylwetka. Obejrzałam się za siebie. Pani Majchrzak zniknęła nam już z oczu. Ten ktoś, raczej starszy mężczyzna, zbliżał się do nas, idąc tak samo jak ona — człapiąc i szurając butami.

— Wojtek, on nie ma ręki — powiedziałam rzeczowo, kiedy się zbliżył.

— Widzę. Hm, co powiesz na to, żebyśmy przeszli na drugą stronę?

Wyszliśmy na środek ulicy i przystanęliśmy, kiedy podszedł bliżej. Jego twarz, mocno wysuszona i szerniała, ale trzymająca się całkiem nieźle, wykrzywiła się na nasz widok. W przeciwieństwie do kobiety, on z pewnością nas dostrzegął. Wyglądał, jakby przez dłuższy czas grzebał się w ziemi, jego jasnoszary garnitur był wybrudzony, pokryty

plamami. Zatrzymał się i spojrzał na nas. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zamknął je i spróbował jeszcze raz. Zaskrzeczał. Wyglądał jakby miał w środku mechanizm, ale nie wiedział, jak go uruchomić.

Ruszył w naszą stronę, a my wtedy gwałtownie się cofnęliśmy. Pewnie zaraz zaczęlibyśmy uciekać, ale zanim o tym pomyśleliśmy, rozległy się strzały. Jego ciało zatrząsnęło się od uderzeń, po czym upadło na ulicę. Poczułam, jak zapach śrutu miesza się z odorem rozpadu.

— Ty, patrz. — Wojtek szturchnął mnie. Od strony stacji nadchodził jakiś mężczyzna. Był koło pięćdziesiątki, szczupły, ze szpakowatymi włosami i ciemną brodą. W dłoni trzymał opuszczoną w dół wiatrówkę.

Musieliśmy wyglądać jak skończeni idioci, gapiąc się tak na niego, bo pokręcił głową na nasz widok.

— Tata Kacpra — wyrwało się Wojtkowi. — To znaczy, pan Witkowski. Dzień dobry.

— Dzień dobry. — Dygnęłam grzecznie nad podziurawionym ciałem, z którego nie wypłynęła ani kropelka krwi.

— Czy wyście do cna zgłupieli, dzieciaki? — zdenerwował się, podchodząc do nas. — Wy za czym tutaj? Szukacie wrażeń?!

— Próbowaliśmy się dowiedzieć, co się stało — wtrąciłam, zanim Wojtek zdążył się odezwać. — Skąd ta syrena.

Witkowski odetchnął głęboko.

— Kacper do mnie zadzwonił — wyjaśnił. — Wicie pewno, co powiedział. Powiedział, że trupy wstały z cmentarza i rozlały się po całych Lipinach.

Uniosłam brwi. Filmy filmami, ale takie rzeczy się przecież nie zdarzały. Nie naprawdę.

— Super — powiedział jednocześnie Wojtek ze szczerym zachwytem. — Apokalipsa zombie!

— Idiota — jęknęłam, chowając twarz w dłoniach. — Idiota!

Witkowski musiał w duchu zgodzić się ze mną, bo kontynuował, zwracając się już bezpośrednio do mnie.

— Byłbym mu nie uwierzył, ale zobaczyłem Jankę Majchrzakową pod domem, a na własne oczy widziałem, jak ją chowali. Kacper mi powiedział, że mam zostać w domu. A potem słyszę tylko krzyki i łomot, i koniec połączenia. Nie odbiera już. — Zmarkotniał. —

No to stwierdziłem, że przejdę się mu pomóc. Mam w plecaku piłę spalinową i wszystkie noże z kuchni, ale wiatrówka, jasna sprawa, jest najskuteczniejsza. Mogę wam dać po nożu — dodał po namyśle.

Wojtek wpatrywał się w niego z zachwytem.

— Ech, dzieciaki — westchnął. — Idźcie do domu i przygotujcie rodziców na to, co się dzieje. Żadnego pożytku z was tutaj nie będzie.

Ruszył przed siebie. Spojrzeliśmy na siebie z Wojtkiem. Widziałam, jak mu oczy błyszczały.

— Dom — powiedziałam stanowczo.

Zgodził się potulnie.

— Dobra, szefie. Proszę pana! — zawołał i oboje podbiegliśmy do Witkowskiego. — Możemy iść z panem do remizy? A dalej do domu pójdziemy sami.

— I może nam pan dać te noże? — dodałam.

Spojrzał na nas z powątpiewaniem.

— Nie będę was pilnował.

— Poradzimy sobie — zapewnił go Wojtek.

Nie był chyba zbyt przekonany, ale sięgnął do plecaka. Dostaliśmy noże i ruszyliśmy w stronę remizy, z której echem niosła się syrena. Wojtek i pan Witkowski poszli przodem.

Zadzwoiłam do rodziców i poinformowałam ich o tym, gdzie jestem.

— Skarbie, zostań w remizie albo u Wojtka — powiedziała mama, dysząc głośno od biegu. — Połowa naszej ulicy się pali. Pomagamy gasić dom Petrykowskich.

Pożegnałam się z nimi. Byłam rozdarta. Pierwszy raz jak żyję w Lipinach działo się coś bardziej ekscytującego niż wiejska dyskoteka, na której tulipanami naparzały się łyse karczki. Chciałam być tego częścią, ale bałam się i o siebie, i o rodziców.

Zaśmiałam się cicho. Czy to nie było zabawne? Oto szłam główną ulicą Lipin z nożem kuchennym w ręku, gotowa polować na gustownie ubrane trupy.

Wojtek odwrócił się do mnie, ale jego wzrok powędrował dalej.

— Ty, zobacz.

Nasz pierwszy zakatrupiony trup wstał, otrzepał marynarkę i zaczął wlec się za nami. Przyśpieszyłam kroku i zrównałam się z nimi.

Byliśmy coraz bliżej centrum. W zasięgu wzroku zaczęło pojawiać się coraz więcej zmarłych. Chodzili niemrawo, kompletnie niczym nie zainteresowani, jak lunatycy. Część

z nich miała otwarte oczy i patrzyła przed siebie pustym, nic nie widzącym wzrokiem. Niektórzy z nich wyglądali jak śpiące ciała prowadzone na niewidzialnych sznurkach, z przechyloną głową i rozchylonymi ustami.

Pierwszą grupkę strażaków spotkaliśmy parę minut później. Podpalali trupy, a następnie pilnowali tych chodzących pochodni, póki nie padały na ziemię. Wszędzie w zasięgu wzroku leżały dogorywające, bezkształtne kadłuby. Czasem któryś z nich wstawał i ruszał dalej mimo ognia i siekiery wbitej w głowę.

— Schowajcie się w remizie — powiedział jeden ze strażaków, podchodząc do nas. — Omijajcie je szerokim łukiem. Są bardzo silne.

— Poczekaj! — Witkowski złapał go za pokryty sadzą kombinezon. — Czy ogień je zabija?

Mężczyzna pokręcił głową.

Trup w szarej marynarce zbliżył się do nas i przystanął, jakby obserwując pogorzelnisko. Minęliśmy go i poszliśmy dalej, prosto do remizy. W środku nie zastaliśmy nikogo. Osobiście trochę się zdziwiłam. Remiza była teraz, biorąc pod uwagę okoliczności, najbezpieczniejszym miejscem w całych Lipinach.

Zatrzymałam się w progu i obejrzałam się za siebie. Działka naprzeciwko remizy była gruntownie rozkopana. Zmarszczyłam brwi.

— Syn Michalskiego się buduje — wyjaśnił Witkowski, popychając mnie do przodu. Posłusznie ruszyłam przed siebie. Na piętrze spotkaliśmy starszego mężczyznę, siedzącego za sprzętem służącym do komunikacji. Prosił o pomoc. Słuchaliśmy go przez chwilę, ale kiedy trzeci raz powtórzył to samo, straciłam zainteresowanie.

Podeszłam do okna. Trup w szarej marynarce ominął strażaków i przystanął na ulicy między remizą a placem budowy. Nie wiem czemu, ale trochę mnie to martwiło — nie rozglądał się, nie szedł dalej, nic, tylko stał.

Wyglądał, jakby czekał.

— Mamy trzech zabitych strażaków na tę chwilę — powiedział dyżurny do mikrofonu. Witkowski natychmiast podbiegł do niego i zażądał nazwisk. Skinęłam ręką na Wojtka. Kiedy podszedł do okna, pokazałam mu naszego kolegę.

— Przyszedł za nami — poskarżyłam się.

— Mamy własnego zombie pieska — zażartował. — Nie zwracaj na niego uwagi. Jesteśmy tutaj bezpieczni.

— Dzieciaki!

Obejrzałam się za siebie. Witkowski wydobył już od dyżurnego najważniejsze informacje i teraz szedł w naszą stronę.

— Z Kacprem wszystko w porządku — poinformował nas. — Jego grupa jest gdzieś na Słonecznej, idę tam teraz. Nie ruszajcie się stąd, dobra?

— W razie czego zabijemy każde zombie, jakie tu przyjdzie — powiedział Wojtek, prężąc pierś do przodu.

Spojrzałam z wahaniem na Witkowskiego.

— Uważa pan na siebie, dobrze? — poprosiłam.

Skinął głową.

Kiedy wyszedł, stanęliśmy w oknie i odprowadziliśmy go wzrokiem. Nasz nowy martwy kolega nawet nie drgnął. Spojrzałam jeszcze raz na plac budowy. Wydawało mi się, że dostrzegłam jakiś ruch, jakby ktoś krążył między niedokończonymi ścianami, ale gdy mrugnęłam, wrażenie zniknęło. Nagle za domami mocno zajaśniało i wyglądało to tak, jakby gdzieś w oddali ze znaczną siłą coś wybuchło. To nie była moja okolica, ale i tak spróbowałam dodzwonić się do rodziców. Nikt nie odebrał.

Po chwili dyżurny skończył wreszcie nadawać i schował twarz w dłoniach.

— Przepraszam — odezwał się Wojtek, podchodząc bliżej. — Nie da się nic zrobić z tą syreną?

Dyżurny spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— To jest specjalnie — powiedział. — Żeby wszyscy wiedzieli, że mają się pakować i uciekać. Połowa Lipin stoi w ogniu.

Wyrzałam przez okno. Nasz kolega się nie ruszał. Stał mniej więcej na naszej wysokości i patrzył prosto przed siebie... na co? Na ścianę? Co dokładnie było pod nami?

— Lada moment będą tu jednostki ze wszystkich sąsiednich miast — wyjaśnił dyżurny. — Ale zajmie im to chwilę.

— Nigdzie oprócz Lipin coś takiego się nie wydarzyło? — spytał Wojtek z niedowierzaniem.

Kolega w szarej marynarce zrobił krok do przodu. I jeszcze jeden.

— Tylko tutaj — wyjaśnił dyżurny. Razem zaczęli się zastanawiać, co takiego specjalnego było w Lipinach.

Kolejny krok.

— Słyszałem, że nasz cmentarz jest najstarszy w okolicy — powiedział dyżurny w zamyśleniu.

Idioci. Problem nie leżał w naszym cmentarzu, przynajmniej nie w tym, z którego teraz korzystaliśmy. Problem leżał znacznie bliżej, po drugiej stronie ulicy.

— Ciekawe, czy reszta zombie też się podniesie — zastanawiał się Wojtek.

— To nie są zombie — wyrwało mi się.

Spojrzeli na mnie z zaciekawieniem. Martwy kolega zrobił jeszcze kilka kroków i zniknął mi z oczu.

— Co tam jest, pod nami? — Pokazałam palcem kierunek, o który mi chodziło. — Tam nie ma żadnych drzwi, prawda?

— Jest wyjście awaryjne — powiedział dyżurny. — Ale...

Ledwie skończył mówić, usłyszeliśmy ciężkie kroki na schodach.

— Ale jest zamknięte na kłódkę — dokończył.

Rzuciliśmy się z Wojtkiem do drzwi. Ja je zatrasnęłam, a on zaczął przepychać kanapę, żeby je zablokować. Dyżurny w tym czasie zaczął nadawać prośbę o pomoc do znajdujących się najbliżej strażaków. Pomogłam Wojtkowi zastawić drzwi. Kiedy skończyliśmy z kanapą, zabraliśmy się za komodę.

— Pss, czekajcie. — Dyżurny uniósł dłoń. — Ucichło.

Zamarliśmy. Faktycznie, dźwięk ustał. W ciszy było słychać tylko nasze przyśpieszone oddechy.

— Uff — sapnęłam.

Wojtek opadł na kanapę.

— Co miałaś na myśli mówiąc, że to nie zombie? — spytał.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, z głośnym trzaskiem pięść przebiła drzwi kawałek nad głową Wojtka. Wrzasnęłam. Chłopak zerwał się z miejsca i stanął obok mnie.

— Komoda — zakomenderował.

Podczas gdy my powoli ją przesuwaliśmy, dyżurny spanikowanym głosem powtarzał kolejne prośby o pomoc. Wreszcie podnieśliśmy mebel i postawiliśmy go na kanapie, zasłaniając wyrwaną dziurę. Wojtek oparł się o nią. Nasz martwy kolega dalej uderzał pięściami o drzwi. Wydawał przy tym z siebie jakieś niesprecyzowane dźwięki, coś pomiędzy szlochem i jękiem.

— Utknęliśmy tu — powiedział ponuro dyżurny. — Z tego pomieszczenia nie ma żadnego wyjścia.

— Okno — podsunęłam, podbiegając do jednego z nich. Otworzyłam je i wyjrzałam. Drugie piętro i beton na dole. To będzie bolało.

Rozejrzałam się po okolicy. Nastął ostatni świt dla Lipin, jakich znaleźliśmy. Już nad niemal całą wsią unosiła się gorejąca zorza.

— Nie panikujcie — rzucił Wojtek, który podskakiwał do przodu przy każdym uderzeniu. — Pomoc nadchodzi.

— Czemu jest taki agresywny? — spytałam, podchodząc do niego. — Nie był taki wcześniej.

Chłopak spróbował wzruszyć ramionami. Tymczasem dyżurny otworzył na oścież okno i najwyraźniej przygotowywał się już do skoku.

— Nie masz wrażenia, że on ostukuje drzwi? — spytałam. Dźwięk z każdym uderzeniem jakby się przesuwiał, dopóki nie trafił... Bingo. W drzwiach przy samym zawiasie, w jedynym miejscu niezastłoniętym przez komodę, pojawiła się szerniała pięść.

— Przebił drzwi — poinformowałam Wojtkę.

— Domyśliłem się.

Ręka zniknęła.

— Już są! — wykrzyknął dyżurny z okna. — Pomocy!

Truposz włożył do dziury palce i zacisnął je na drewnie. Szarpnął nimi i fragment drzwi odszedł jak plaster od skóry. W powstałej dziurze pokazała się jego twarz.

— Po-wi-cie Mi-cha-sk-skmu — wycharczał powoli.

Za jego plecami rozległ się tupot stóp.

— Że-by prze-sał.

Zaczął charczeć, a fala gorąca odrzuciła nas od drzwi. W korytarzu rozległy się jakieś krzyki.

— Spokojnie, możecie już wyjść — zawołał ktoś.

Szybko odepchnęliśmy meble. Kiedy Wojtek otworzył drzwi na oścież, nasz trup dogasał już na podłodze z siekierą, która rozłupała mu głowę na części. Spomiędzy kawałków czaszki wypływał przegniły, ciemnoszary mózg. Nad nim stało trzech strażaków.

— Jesteście uratowani! — oświadczył dumnie jeden z nich, a dyżurny rzucił mu się w ramiona.